

J. POWALSKI.

.. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

9

— A idź se pan, — powiedział nędzarz zmęczonym głosem. — Jak ci spieszo, to se idź.

Zrobił im miejsce.

— Kołodziejski! — zawołał Bromirski.

Żołnierz go poznał, wpatrzył się szklanymi oczyma.

— A ino ja, panie szefie.

— Myślałem, żeś zginął.

— Musi to samo, — rzekł żołnierz. — E, niechta! niechta!

Głos i oczy miał jednakowo martwe. Przecisnęli się koło niego. Bromirski odwrócił głowę:

— Pójdź z nami, jeśli chcesz.

Żołnierz mu nie odpowiedział.

— Może myśli, że ja go na posługę albo do pułku, — mówił szef do Ignacego. — Łatwo do ludzi mówić komenda, ale jak komenda pęknie, i wypada mówić jak do równego, trudno się dogadać. Oni zawsze w naszym głosie słyszą komendę.

— W mojej kompanii, — rzekł Ignacy z niejaką chępliwością, — znaliśmy wszystkich żołnierzy i kanonierów, po nazwisku i imieniu. Zawsze mówiło się z nimi, żyło jak równi z równymi.

Było mu miło, że może zainteresować towarzysza starszego i dostojniejszego tem, co zrobił i jak postępował. Bromirski, który brnął pomału i z wysiłkiem, mruknął:

— Bardzo dobrze.

— Bo uważając zasługi i trudy żołnierzy, — ciągnął dalej Ignacy, — widzi się, że przecież żołnierz równy nam jest...

Przerwało mu nagłe runięcie tłumu, jak jednej masy naprzód. Z tyłu podniósł się jeden ogromny ryk.

To baterie nieprzyjacielskie zaczynały strzelać. Były to jakieś strzały zbłąkane, niepewne. Popłoch i napór były tak wielkie, że tłum zrzucił zagrzezłe wozy w bok, i wypłynął naprzód. Niesiony w ciżbie Ignacy widział chwilami wysypane na bok w błoto i śnieg, srebra, bieliznę, kobierce, papiery, księgi. Nikt nie zbierał, topiły się zwolna w błocie.

Ignacy uważał, by nie zgubić towarzysza. Minęli jakiś mostek. Miał wrażenie, że idą już godzinami, ale po szarości nieba uważał, że musi być ciągle jeszcze ranek. Spychano ich parę razy aż na krańców grobli. Cudem wypychali się nazad w tłum, gdy tuż mieli polecieć w topiel bagniska, gdzieś niedługo wyzierał czarnymi łachami z pośród żółtych trzciny i śniegu. Widzieli w niej zanurzonych napół żołnierzy, którzy pospadali i wili się wrzeszcząc, błagając ratunku. Tłum walił bez żadnej uwagi na nieszczęśliwców, spychał nowych, których nikt nie myślał ratować.

Po pewnym czasie gorączka naporu zwolniła. Droga rozszerzyła się, tłum się rozlał. Dotarli do jakiejś wsi spalonej.

Bromirski ustawał.

— Spoczniemy? — spytał Ignacy, z którego ten szalony marsz zdarł na chwilę ciężką skorupę zziębnięcia i bezdusznego zmęczenia.

— Zdaje się, że jest tu jakaś karczma, — odrzekł Bromirski. — Coś mi siły nie dopisują. Ale nie rób sobie nic z tego młodzieńcze, rzuć mnie, jeśli tylko wyda ci się to wskazaniem.

— Panie szefie, — odparł Ignacy, — myślą moją jest odszukać moją kompanię, a wtedy skończą się trudy kolegi, na łożu armatnim będzie ci wygodnie jechać.

— Niestety, — powiedział Bromirski. — nie wiadomo, kiedy ją odzyskasz, tę kompanię. Łatwiej zdybiemy jakiś wóz ze znajomymi, albo dostaniemy konia.

Cisnęli się do karczmy, która pozostała niespalona.

Jednakże nie tylko karczma, ale i dziedziniec przed nią, były tak napchane ludźmi, że pozostali przed nią w ścisłu.

Żołnierze, podobniejsi do zbójów, maroderzy z tłumokami na plecach i pałkami w ręku, baby z dziećmi ze spalonej wsi, wszystko to tłoczyło się przed nimi.

— Pójdźmy się gdziekolwiek na zgłiszczach, — rzekł Bromirski.

Powlekli się gdzieindziej. Z ciężkości chodu towarzysza wnosili Ignacy o jego złym stanie. Ulokował go na jakimś wale ziemnym. Sam ruszył na poszukiwanie drzewa, chrustu, czegokolwiek wreszcie, by rozłożyć ogień i choć trochę się ogrzać. Błądził

po niewyraźnych w szarym mroku i śniegu zwaliskach. Nigdzie nic. Spłoszył tylko jakiegoś nędznego psa, który skrył się przy rozwalonym kominie swej chaty. Powrócił z ciężkiem sercem. Głód trawił go nieznosnie. Odnalazł towarzysza, rozluźniającego szmaty na swych nogach.

— Chcę je natrzeć śniegiem, — rzekł, — może będzie lepiej.

Zsuwał krwawe szmaty, tem czerwiesze, im bliżej były ciała. Ukazały się nogi jego, straszne, rozpuchłe, wydęte zimnem, z otwartymi ranami.

— Ba, ba! — rzekł Bromirski, — widzisz no? Tu niema z czem żartować. Ale dajno śniegu, to je przetrę.

Ignacy podał mu kilka razy w obu dłoniach.

— Tak — a teraz zawinę. Babrze się człowiek, jak baba. Z podłej gliny jesteście, panie kolego.

— W te szmaty? — zawołał Ignacy. — Poczekaj pan choć chwilę, pójdę poszukać, może od którego z maroderów co kupię.

Dostał rzeczywiście jakieś buty, każdy inny, i jakieś łachmany, tyle, że suche. Wrócił z tem. Z wielkiem zadowoleniem obydwóch, Bromirski określił nogi gałganami, ubrał się w buty, i oświadczył, że to go pokrzepiło znacznie.

— Swego czasu — rzekł — lubilem mieć bieliznę codzienną świeżą, i staranność w ubiorze. Ale, powiadam ci, że mało kiedy taką czułem przyjemność z mojej elegancji, jak dziś z tych oto trepek.

Mówił tak, aby pokazać Ignacemu wdzięczność. Jednakże zmęczenie go nie opuściło. Obawiał się sam przed sobą, że nie zdoła iść dalej.

— Musimy coś zjeść, — rzekł do Ignacego. — Masz tu moją kieszkę młodzieńcze, idź i zakup cośkolwiek. Rządź nią, jak ci się wyda najlepiej.

— Zaraz, — odrzekł Ignacy.

Puścił się w stronę karczmy. Sam także gwałtownie uczuwał głód, mdłący go, i pragnienie, od którego zsychało się gardło.

Drogą szła jakaś piechota regularna. Podsunął się bliżej wśród innych. Francuskie znaki. Potem trochę jazdy. Dalej kareta na saniach. Tłum, gapiący się, odstąpił. Ignacy, patrząc w okno karety z ciekawością, poznał w niej cesarza. Podniósł rękę do czoła, salutując wyprostowany. Ujrzał za kareta siedzącego marszałka Davoust: blade, z oczyma obróconymi przed siebie nieruchomo, jakby zastygłego w natężonym osłupieniu. Stracił on swój korpus i odtąd nie mógł przyjść do siebie. Obok niego Berthier: ledwie go rozpoznał w łachmanach, którymi był okryty.

Ignacy przeprowadził ich oczyma, z ręką przy skroni, i westchnął ciężko. Spuścił głowę i krótko pomyślał o rozwiązaniu się tej wspaniałej armii w beładne kupy nędzarzy, o upadku tych wodzów, o zatarciu wszystkiego, co tak składnie, tak świetnie wiodło i trzymało te niezliczone pułki, męzne, najwybitniejsze w świecie szeregi.

Gdy patrzył na wynędzniałą gwardyę i wynędzniałe postacie wodzów, przesunęły mu się w myśli biura administracji, które tak sprawnie działały, lustracje wojsk, staranność, rzetelność ekwipowania na tę wyprawę. I wcześniej jeszcze: szczęśliwa, radosna, dzielna kampania dziewiątego roku, najjaśniejsze wspomnienie wiosny, chwały, nadziei... I nieugięte bitwy, trudy tej kampanii we wrześniu, w październiku, gdy jeszcze armia była wojskiem porządnym, napoleońskim wojskiem niezwykłym. Tyle męstwa, tyle cudów odwagi, na co się zdali?

Podniósł zeszkłone oczy przed siebie, i sunął ku karczmi. zmniejszony, zgarbiony, obojętny.

Nadarzyli mu się maroderzy przy ogniu. Kupił od nich za kilka złotych garść kartofli, przelicytowawszy jakiegoś nędzarza, który odszedł z niczem.

Skupieni maroderzy uważnie słuchali targu. Gdy Ignacy ruszył, przytrzymał go któryś i łamaną francuzczyzną proponował kupienie konia. Uradowany, poszedł go obejrzeć. Była to chuda szkapła, zrabowana widocznie w którejś wsi. Ignacy niedługo się targował, w obawie, by się nie znalazł inny amator. Zapłaciwszy słono, wziął za parciąną taśmę wiszącą na szyi konia i pociągnął go za sobą. Konik był mały, jak kuc, ze zmierzwiłą grzywą, nakrywającą oczy. Ignacy z tryumfem i wzruszeniem doprowadził go przed Bromirskiego. Postawili konika przy sobie, i jedząc kartofle jeszcze ciepłe, karmili go łupinami. Następnie Bromirski siadł na szkapę i ruszyli. Świat przedstawił im się teraz jakiś mniej ostry, zaradność ludzka więcej warta. Ignacemu ciążyły przemokłe i oblepione błockiem buty, ale zapomniał o nich, zajęty drogą.

Cały dzień szli z kupami ludzi traktem, który, minawszy moczary, ciągnął się teraz lasami. Po południu zaczął padać wielki śnieg.

— O, źle! — mówił Bromirski, — nie będzie można schodzić z traktu w las rozkładać ogniska. Scisną się na trakcie, i znów będą bójk i awantury.

Ignacy brnął obok konika.

— Żeby to jakie sanki, — rozmyślał głośno.

Nogi mu tak przemokły, tak przemarzły, że szedł jak na klocach, w których czuł tylko tępy i ustawiczny ból. Uważnie spoglądał na trupy, które czerniały z pod śniegu, niezupełnie zasypane. Ciągle bowiem przypominał sobie o tem, że nic nie mają do jedzenia na wieczór, i miał nadzieję znaleźć jaki porzucony tłumok z żywnością, jak to się nieraz trafiało.

Zmierzch zapadł, gdy szli milczącym lasem, wśród coraz gęściej mrowiącego się w powietrzu śniegu. Jeszcze musieli się zatrzymać z powodu zbiegowiska.

Ujrzeni na skraju drogi siedzącego oficera w jednym tylko mundurze, w którym poznali hesskie odznaki. Obskoczyli siedzącego maroderzy, westfalowie, najgorsze w armii zbójce, okrutnicy i tchórze wierutni. Jedni bili bezbronnego kolbami, pałkami, drudzy zdzierali mu buty. Wreszcie przysiedli go, obdarli z mundur. Ruszyli, zostawiając pokrwawionego. Żywo popędzili przed siebie. Oficer wstał, chwiejąc się, i ruszył traktem bez butów i czapki, w lecącej z ciała bieliznie.

Widać było, jakie dreszcze go trzęsą, jak zsiniał, jak krwią znaczył ślady, a mimo to szedł wytrwale, jak mara, ciągnięty jeszcze mimo wszystko jakąś nadzieją? jakimś instyktem, za hordą, która mu nic dać nie chciała, nie mogła.

Bromirski siedział skulony na koniu. Mając buty, konia, perspektywę wydobywania się, czuł się winny wobec tego nieszczęsnego. Zwyczajny sarkazm znikł mu z myśli. Mróz zresztą wzrastał. Szli tak w milczeniu z pół godziny, trochę tylko wyprzedzając obdartego. Po pół godzinie ów począł się chwiać. Ocierał raz po raz pniące się usta skostniałą ręką. Upadł, wstał, upadł znowu. Z tyłu szły ciężkie furgony, które natychmiast przeszły przez jego ciało. Ignacy, obejrzawszy się, ujrzał jakby krwawą szmatę wprasowaną w koleje wozów, którą już śnieg zaczął zapraszać.

— Bywają rzeczy nad siły, — rzekł niewyraźnie Bromirski.

Brnęli znowu w milczeniu dalej.

— Za wiele okropności, i struna pęka, — odezwał się znów Bromirski ochryplym głosem. — Musimy asystować widokowi zbydlęcia ludzi bezradnie. I nie tylko to, musimy asystować wyjściu zwierza z nas samych, i uznać za najlepsze iść za jego radami. Taka to jest lekcja chrześcijańskiej pokory, pokazująca, jak razem z tymi wszystkimi i my byśmy jesteśmy, i jak bez wyjścia musimy... Podła glina! Tacy jesteśmy. Tacy jesteśmy.

Ignacemu przeszły w pamięci, jak lekkie cienie, wspomnienia dalekie, dalekie, gdy było ciepło, jasno, zielono, i żegnał się z ojcem, na polach strzelczyńskich. Wspomnił nalegania i rady ojca, powieść o kapucynie, który pozdrawiał aniołów stróżów spotkanych ludzi, radę pamiętania o godności ludzkiej. W uszach posłyszał tak wyraźnie głos ojca, że się mimowoli obejrzał.

— Spieszmy, — rzekł, — bo nas noc tutaj zaskoczy, a w tym śniegu jeszcze zbłądzimy.

Dobili się do jakiejś mieściny, którą żołdactwo rozrywało, burząc domy i podpalając, aby się ogrzać. Niektóre domy jeszcze stały, inne wypuszczały dym gęsty oknami i z pod dachu. Wielki budynek drewniany spłonął ciemno-krwistym ogniem, i wśród kłębow dymu i sypiących się iskier rzucał krwawe światło, jak zlewę krwawą, na uwijających się czarnych ludzi i na zburzone domy.

Zasadą Ignacego, wyrobioną już od czasu pieszej wędrówki, było nie stawać nigdy tam, gdzie zastawali pierwsze ognie. To też usiłowali wyminać coraz gęstszą ciżbę w rynku. Ale bocznych ulic nie było. Przebrnęli środkiem, przyczem konik z Bromirskim omal nie utonął w kałużach pełnych tnącego jak szkło lodu. Dobyli się na drugą stronę rynku. Tu były miejsca już urządzone: wielkie ogniska płonęły z jakąś wesołością ponurą wśród wrzasku ludzi, w ciemności nocy, czarnej jak atrament.

Była to długa i porządnie zbudowana ulica. Teraz domy napchane były żołdactwem. Wśród światła ognisk przewijały się wystraszone i nędzniejsze jeszcze, od rabusiów postaci mieszkańców miasteczka, obdartych, pobitych, wyrzuconych z swych mieszkań.

Ulica, którą ciągle brnęli naprzód, rozglądając się, gdzieby stanąć, napętniała się nagle szczelnie zwartą masą posuwającego się wolno w ciżbie wojska. Na zmarzłej grudzie, pomieszany rytm niezliczonych kroków przysypał jednostajnie wrzask i rumor otaczający.

— Co za jedni? — z ożywieniem spytał Bromirski. — Zobaczn kolega — nie widzisz? Może nasi?

Ale Ignacy, przysunawszy się, dosłyszał rozmowy francuskie, i ustąpił zawiedziony.

Gdy wojsko przeszło, ujrzeni się przed mурowaną